

Kiedyś wakacji nie było...

Lipiec, 1965r.

Obudziło mnie ciepło promieni słonecznych, które padały na moją twarz i były dla mnie informacją, że nieubłagalnie zbliżała się pora, kiedy będę musiał opuścić łóżko i wraz z trójką sióstr rozpocząć codzienną harówkę. Dobiegały mnie ich równe oddechy, świadczące o tym, że jeszcze śpią. Z westchnieniem wygrzebałem się spod cienkiego koca i zacząłem je budzić. Pobudki mojej mamy były niezbyt miłe, więc wolałem obudzić je sam i oszczędzić nam wszystkim reprimendy za lenistwo. Ze stołu w kuchni porwałem jabłko i pobiegłem do chlewika. Mama rozdawała zadania moim siostrom, ale ja wiedziałem co mam robić. Jako że naszego ojca zabrakło, gdy miałem trzynaście lat, jako jedyny chłopiec wśród sióstr, musiałem wcześniej dorosnąć i to mi przypadały najcięższe zadania. Wczoraj wykonałem główne prace, więc na szczęście dzisiejszego ranka musiałem jedynie wykonać zadania, które wykonywałem codziennie, nakarmić zwierzęta oraz trochę im posprzątać. Brzmi lekko, ale



jeśli ma się kilka krów, konia, barany, owce oraz świnię i jest się czternastoletnim chłopcem, to już tak lekko nie jest. Przynajmniej mam siostry, które pomagają, jednak to ja muszę dźwigać ciężary, wykonywać najwięcej prac. Nieraz zdarzało się, że nawet gdy była burza, a krople mocno siekły twarz, spędzałem całe dni boso, z krowami na pastwisku, odziany w płaszcz, który szybko przemakał. Przemarznięty i przemoczony do suchej nitki grzałem wtedy swoje nogi w krowich odchodach.

Gdy skończyłem pracę przy zwierzętach, było już około godziny dziewiątej. Nieuchronnie zbliżała się najgorsza część tego dnia. Ponieważ dziś wypadał dzień, w którym ja i moje siostry ruszaliśmy na pole i od rana, do wieczora, w upale i bez cienia, z jedną tylko przerwą na posiłek, zbieraliśmy ogórki. Braliśmy worki i wiadra, każdy tyle ile wiedział, że może unieść i ruszaliśmy, by pracować w pocie czoła, na miarę dziecięcej siły. Jedyna ulga była taka, że są wakacje, więc odpoczywamy od szkolnych obowiązków i mamy więcej czasu by wykonywać te domowe i gospodarskie. Jednak radość z wakacji jest znikoma. Nie mamy czasu, by bawić się z kolegami. Tak na prawdę pracujemy

cały rok. Ciągłe musimy opiekować się zwierzętami. Na wiosnę dochodzą jeszcze prace rolnicze. Najpierw musimy przygotować ziemię: przeorać, użyźnić... Potem siejemy ogórki, kapustę, sałatę, sadzimy ziemniaki... Następnie dochodzi podlewanie, choć jeśli chodzi o wodę, to głównie chodzi o deszcz, bo naszych pól nie jesteśmy w stanie dostatecznie nawodnić sami. Więc to, w jakim stanie będą nasze warzywa i owoce, głównie zależało od kaprysów pogody. Nasze plony to nasze główne źródło pożywienia i zarobków. I właśnie na wakacje, gdy większość naszych plonów dojrzewała do zebrania, zaczynała się najgorsza część naszej pracy - żmudna i monotonna, czyli zbiory. Co trzy dni zbieraliśmy ogórki i dziś niestety wypadł właśnie taki dzień. Jednak nie miałem zamiaru narzekać. Wyrwałem się z ponurych rozmyślań i poszedłem po siostry, i udaliśmy się na pole, by rozpocząć znojną pracę. Przekomarzając się całą drogę doszliśmy na nasz użytek. Każde z nas w milczeniu zajęło swoje



miejsce przy długich rzędach ogórków. Wiadra i wory napełniały się wolno i wiedziałem, że dziś spędzimy tu więcej czasu niż zazwyczaj. Może nawet będziemy pracować jeszcze po tym, jak słońce zajdzie za borami. Ostatnie opady były skromne, więc warzywa były mniejsze niż zwykle. Wstałem z klęczek i usiadłem na ziemi, by chwilę odpocząć. Zapatrzyłem się w dal, ale mój wzrok przykuło pole naprzeciwko naszego. Należało ono do starego Prygla, który posadził na nim truskawki. Nie raz, gdy właściciela nie było, zakradaliśmy się tam całą czwórką i napychaliśmy sobie buzie pysznymi, czerwonymi owocami. Naszła mnie grzeszna

myśl, by dziś znów zasmakować tych słodkich cudeniek. Spojrzałem na moje siostry i zawołałem pracującą najbliżej:

- Elka!

Skierowała na mnie swój wzrok, w którym kryło się nieme pytanie. W odpowiedzi spojrzałem znacząco na sąsiednie pole. Na jej twarz wkradł się uśmiešek. Zrozumiała. Zwołaliśmy resztę rodzeństwa i zaczęliśmy skradać się w stronę pola truskawek. Oczami

wyobraźni zobaczyłem soczyste owoce, które lądują w moich ustach. Obliziałem suche wargi i zerwałem pierwszą truskawkę. Rozpływała się w moich ustach. Kątem oka ujrzałem, że rodzeństwo zaczęło przeczesywać krzaczki pełne małych słodko-kwaśnych śliczności. Ale nie zwracałem na nie uwagi, byłem zajęty napełnianiem własnego brzucha. Postanowiłem nawrzucać ich trochę do kieszeni, by mieć na później. Wiedziałem, że prawdopodobnie się rozgniotą, ale lepsze to niż nic. Nagle jakiś szelest w zbożu na polu obok przykuł moją uwagę. Nie dostrzegłem żadnego ruchu, więc nie przejąłem się tym, przecież żyje w nim dużo małych zwierząt.



-AGHHH!

Sparaliżowany strachem odwróciłem się...
i zobaczyłem twarz starego Prygla dyszącego z wściekłości,
kilka metrów ode mnie.

- Chodu! - krzyknąłem do sióstr i nie patrząc, czy posłuchały, czy też nie, sam rzuciłem się do biegu. Nasze dziecięce, bose stopy niosły nas szybciej od Prygla. Sapiąc i parszcząc próbował nas dogonić, ale my daliśmy szybko nura w zboże i nie mógł nas już zobaczyć. Znalazłem małą lukę w zbożu i wypatrzyłem właściciela pola. Stał czerwony z

wściekłości, a dłonie miał zaciśnięte w pięści.

Słyszeliśmy jego nerwowe pokrzykiwanie:

- Łobuzy! Hultaje! Kto to widział, żeby kraść moje truskawki! Nicponie, niech no ja się przejdę do waszej matki!

Stał jeszcze chwilę na miejscu, mając chyba nadzieję, że nas wypatrzy. Starłem się ani drgnąć i wstrzymałem oddech. Wiedziałem, że gdybym dał się złapać, zostałbym wytargany za uszy i zaciągnięty za nie do domu, a byłem bardzo przywiązany do moich uszu. Mężczyzna stał jeszcze chwilę, wierząc się niespokojnie, jakby się nad czymś zastanawiał i zawrócił. W stronę naszego domu, jak sobie z przerażeniem uświadomiłem. Gdy zniknął nam z pola widzenia, ostrożnie powychylaliśmy głowy i rozglądaliśmy się dookoła w poszukiwaniu zagrożenia. Nie dostrzegliśmy niczego, więc smętnie powlekliśmy się z powrotem na nasze pole. Wstydziliśmy się przyłapania i baliśmy reakcji matki. Gdy wróciliśmy do pracy, moje myśli cały czas zajmowały różne wymówki i głowiłem się, jak

wy tłumaczmy się z tego występku. Gdy słońcu było bliżej już do zachodu niżli wschodu uznałem, że możemy iść na obiad. Zwołałem siostry i powoli kierowaliśmy się w stronę miejsca naszego zamieszkania. Na początku staraliśmy się iść wolno, jak najbardziej opóźniając powrót do domu, jednak puste brzuchy były wystarczającym paliwem. Przyspieszyliśmy kroku. Kiedy stanęliśmy w progu do naszych nozdrzy wdarł się zapach gotowanych ziemniaków. Uznałem, że to dobre powitanie i już pewniejszym krokiem wszedłem do wnętrza mieszkania. Zerknąłem do kuchni i moim oczom ukazał się widok pięciu napełnionych talerzy na stole jadalnym. Siostry niepewnie szły za mną. Matka siedziała już przy stole. Była spięta.

- Usiądźcie.

Bez słowa padliśmy na krzesła z opuszczonymi głowami.



- Pomódlmy się i podziękujmy Bogu za ten posiłek. - Nakazała nam.

Mamrotaliśmy słowa modlitwy tak cicho, że przypadkowy słuchacz ledwo mógłby je rozróżnić i rozpoznać. Zjedliśmy w ciszy. Matka upewniła się, że wszyscy zjedliśmy nasze porcje i wzięła oddech. Chciała rozpocząć tyradę. Z umysłu wyparowały mi wszelkie wymówki, którymi chciałem ją uraczyć.

- Jak zapewne wiecie, kilka godzin temu był u mnie pan Prygiel. Powiedział mi niezmiernie ciekawą rzecz. Mianowicie, że moje dzieci nagminnie łamią siódme przykazanie.

- Mamo... - zaczęła Danka.

Ta smagnęła ją spojrzeniem i uniosła rękę; cichy rozkaz.

- Prochowice to mała miejscina i zaraz każdy się dowie, że chowam złodziei! Pan Bóg pozwolił nam wyhodować nasze plony i był łaskaw wobec naszych zwierząt. Mamy owoce, warzywa, mleko, jaja. Nasze zbiory są dla nas i na nasz użytek. Czyjeś, na jego użytek. Nie twój, nie twój, ani twój, ani twój. - Przy każdym kolejnym słowie kierowała na nas po kolei swój palec. - Chciwość jest grzechem, łaknienie jest grzechem! Dzieci to niewinne istoty, nie są stworzone do kradzieży. Jak mogliście kraść coś starszej osobie i to nie raz, nie dwa, lecz kilka razy, jeśli nie kilkanaście! Przecież mamy truskawki na ogrodzie! Nawet sobie nie wyobrażacie jak bardzo było mi za was wstyd! - załamała ręce, a jej spojrzenie było ostre.

Przesunęła je po każdym z nas.

- Jutro pójdziecie do pana Prygla i go przeprosicie. - Rzuciła sucho - A teraz wracać na pole. Ja idę wypaść krowy.

Nie patrząc na nas wyszła z kuchni. Zeszliśmy z krzesel i wyszliśmy z kuchni. W drzwiach wyjściowych jeszcze stała mama.

- Dobrze by było, gdybyście się wypowiedzieli. - Rzuciła na odchodnym. I wyszła.

Skruszeni udaliśmy się na pole i pracowaliśmy do nocy. Dopiero, gdy było długo po zachodzie słońca zarządziliśmy koniec pracy. Byliśmy w miarę zadowoleni z rezultatów. Zebraliśmy tyle, ile tylko mogliśmy unieść. Każde z nas miało po dwa, trzy wiadra w rękach i tyle samo worków na plecach. Gdy wreszcie dowlekliśmy się do domu, byliśmy tak zmęczeni, że nie zjedliśmy nawet po jednym owocu, tylko od razu skierowaliśmy się do łóżek. Bolały mnie plecy kark i dłonie, na których pojawiły się odciski od rączek wiader. Nie miałem nawet siły się przebrać, ale nie robiło mi to różnicy. Popatrzyłem przez okno. Noc była bezchmurna. Niebo miało kolor aksamitnej czerni i usiane było gwiazdami. Podziwiałem ich piękno. Zapatrzony w gwiazdy zasnąłem.

Bohaterem tych wydarzeń jest mój dziadek - Kazimierz Wszółek oraz jego siostry, mama i właściciel pola sąsiadującego z polem Wszółków.

Wszystkie wydarzenia są autentyczne i opisane na podstawie rozmowy z dziadkiem.

Aelin Ashryver Galathynius